

# Czego nam dziś brakuje...

Z Markiem Wawrzkiewiczem, ostatnim redaktorem naczelnym miesięcznika „Poezja” rozmawia Eugeniusz Kurzawa

– Miesięcznik „Poezja” dobrze się kojarzy tym, którzy pamiętają ukazujący się do końca Polski Ludowej „tołstij żurnal”, jak nazywali ten typ czasopisma Rosjanie. Mieliliśmy ongiś znakomity, na wysokim poziomie redagowany periodyk. Byłeś jego ostatnim redaktorem naczelnym. W jaki sposób trafiłeś do redakcji?

– W 1973 roku przenieśliśmy się z Łodzi do Warszawy, swego rodzinnego miasta. Początkowo znalazłem zatrudnienie w czasopiśmie „Scena”, a potem zostałem kierownikiem literackim stołecznej Estrady. Gdzieś tak około roku 1975 spotkałem Bohdana Drozdowskiego, ówczesnego naczelnego „Poezji”, który zaproponował mi objęcie w piśmie stanowiska szefa działu... poezji.

– Przyjechałeś z Łodzi, on mieszkał w Warszawie, dokąd przybył, zdaje się, z Krakowa, pracował także we Wrocławiu. Czy znaliście się wcześniej, że wyszedł z taką inicjatywą?

– Poznaliśmy się pewnie na jednym z licznych w dawnych czasach tzw. spędów poetyckich. Nie była to znajomość zażyła, bo obowiązywała wówczas hierarchia literacka, on był twórcą znanym, uczestnikiem słynnej „Prapremiery pięciu poetów” w „Życiu Literackim” w 1955 roku – Białoszewski, Czycz, Drozdowski, Herbert, Harasymowicz – a ja młodym autorem... Potem, w końcu lat sześćdziesiątych, pracując w łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia puściłem na antenę duże słuchowisko Drozdowskiego. Tak wyglądały nasze wcześniejsze kontakty.

– Widać miał do ciebie przekonanie. A może zdecydowały jeszcze inne argumenty. Oczywiście przyjąłeś propozycję Drozdowskiego?

– Tak, ale na pół etatu, bo nie zrezygnowałem z roboty w Estradzie. Zresztą z jednej pracy do drugiej miałem blisko, ze trzy przystanki tramwajem. W ten sposób przepracowałem mniej więcej cztery lata. W styczniu 1979 roku objąłem po Januszu Termerze posadę redaktora naczelnego „Nowego Wyrazu” – literackiego miesięcznika młodych.

– Pamiętam ten periodyk. Mekka literackich debiutantów. Choć niektórzy uważali, że to kanał, w który wpuszcza się młodych. Bo oni – zamiast się przebijać własnymi siłami i drukować w jednodniówkach, biuletynach oraz niskonakładowych

almanachach – dostają od razu do rąk forum ogólnopolskie na „wysoki połysk”.

– Nie pracowałem tam długo. Pismo zostało zawieszona w stanie wojennym – a ja wiedziałem, że nigdy już „odwieszona” nie będzie. Straciłem pracę. Jeszcze przez kilka miesięcy płacono mi, o ile dobrze kojarzę, chyba dwie trzecie pensji. W ten sposób dotrwałem do wyjazdu do Moskwy. Otrzymałem bowiem propozycję wyjazdu do stolicy ZSRR jako korespondent polskiej prasy kulturalnej. Wylądowałem tam 2 listopada 1982. Wysłała mnie RSW „Prasa-Książka-Ruch”, czyli największy wówczas koncern prasowy w kraju. To był ciekawy okres w moim życiu, nawiązałem wiele znakomych kontaktów z wybitnymi pisarzami, aktorami, malarzami, muzykami, pisałem o życiu kulturalnym Rosji, jeździłem po tym niepojętym kraju. 27 listopada 1985 roku zmarła moja żona. Zostałem w Moskwie sam z 10-letnim synem. Jednocześnie kadencja korespondenta już się kończyła, trzeba było wracać. Wtedy, a było to w czerwcu 1986 – o dziwo – padła propozycja z Polski, żebym objął kierownictwo „Poezji”.



Fot. Andrzej Dębowski

– Dlaczego się zdziwiłeś? I dlaczego Drozdowski, po kilkunastu latach prowadzenia redakcji „Poezji” – z powodzeniem, dodajmy – odchodził?

– Po kolei. Drozdowski był dobry merytorycznie, przygotował do druku wiele znakomych numerów pisma, ale okazywał się też niezwykle trudnym we współżyciu człowie-

kiem. Wielu ludziom nadepnął na odcisk. Zapewne skorzystano z jakiejś politycznej okazji i zmuszono go do ustąpienia ze stanowiska. Natomiast zdziwiła mnie ta oferta, ponieważ w „Poezji” pracował na etacie naturalny zastępca Drozdowskiego – Krzysztof Gąsiorowski, mój przyjaciel zresztą. Widać na tym przykładzie, że toczyły się wówczas „na górze” jakieś rozgrywki personalne. Ostatecznie 9 października 1986 objąłem funkcję naczelnego.

– Na cztery lata. Niestety – tylko cztery lata, bo na twojej kadencji „Poezja” zakończyła swój byt. Szkoda tak znakomitego tytułu...

– To prawda, żal pisma, zwłaszcza, że upadło akurat w swoje ćwierćwiecze. 25 lat po utworzeniu. Ale zdążyliśmy zrobić sporo dobrego dla literatury polskiej. Po części kontynuowałem to, co zaczął Drozdowski. Ot, choćby numer monotematyczny poświęcony emigracji literackiej. Ukazał się w nakładzie zawrotnym, jak na tego typu fachowe periodyki, mianowicie 25 tys. egzemplarzy. Na biurko spadały mi potem listy od wielu wybitnych polskich twórców mieszkających za granicą. Poeci emigracyjni cieszyli się bardzo, że byli drukowani w kraju. Numer poświęcony Gałczyńskiemu miał jeszcze większy nakład, ponad 30 tys. egz. A mógł być znacznie większy, lecz wtedy występowały już kłopoty z papierem, podlegał on reglamentacji. Pamiętam pomoc Kiry Gałczyńskiej przy tym wydaniu, która udostępniła nam wiele nieznanych materiałów związanych z ojcem. Wyszedł też numer w całości poświęcony Wierzyńskiemu, pojawiały się edycje tematyczne: dwuczęściowa „Anegdota literacka”, pojawił się Eros w poezji itd. I kilka wydań poświęconych prezentacji poetów współczesnych. Po raz pierwszy po wojnie wydrukowaliśmy numer poświęcony Józefowi Łobodowskiemu, z bardzo obszernym wywiadem, którego poeta mieszkający wówczas w Madrycie, udzielił naszemu piśmie. Trzy miesiące przed śmiercią.

– Czytam w starych egzemplarzach, iż po ukazaniu się niektórych wydań tematycznych – a może i każdego? – redakcja spotykała się w warszawskim klubie MPIK z czytelnikami. Na przykład po numerze Iwazkiewiczowskim. A jak to było za twoich czasów? Czy mieliście kontakty z czytelnikami? Takimi żywo reagującymi na świeże publikacje.

– Miewaliśmy spotkania w warszawskich klubach MPIK, ale jeździliśmy też do Katowic,